

Pełnia połowy księżyca

Rozdział 1

Mazury

W tle zamrożone jezioro. Dla oka tylko biel z trudną do określenia odległością, biało, biało i znowu biało. Niewielka wyspa porośnięta długimi trawami pomaga złapać orientację w przestrzeni. Gdzieś za tą wyspą oraz pierwszą, drugą i trzecią połacią bieli pojawia się mgła. Tak wygląda mój świat bez ograniczeń, rozplywa się w wilgotnej spojówce oka. Prawdziwy obraz świata bardziej przypomina białą toń niż to, co spaja dla nas oko. Z punktu widzenia kosmosu wszystko trwa jednocześnie miliony lat i ułamki sekund. Harmonijnie zastania się i odsłania zasłonka moich powiek. Przeżywam każdy ulatujący z ust ciepły oddech. Obejmuję rękawiczkami policzki, jakbym trzymała księżyc w pełni, i po chwili, nie wiem, czy w sekundach, czy milionach lat, parują szkła okularów. Poszły w ruch zalotki, zazdrostki i znieczulenia, żeby tylko się nie pokazać, nie odsłonić i nie poczuć. Przeżywam dziś świat na biało, kręci mi się w głowie i pociągają mnie topielice. Stoję na środku zamrożonego jeziora Mokre i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ktoś łaskocze mnie w stopy, że chce dotknąć, ugryźć, pocałować, pociągnąć w głąb duszy i tam, gdzie wyrasta trzcina. Węgorze ospale wiją się między cieniami lodowych nóg wraz ze strojną nimfą o zielonej twarzy. Nieopodal przereźbłowy siedział z wiaderkiem i pies mi się mocno spłoszył. Okulary przestały parować i zrobiło się miejsce na strach. Na tym środku śnieżnej pustyni, w zawierusze zysków i strat, znów na mej drodze stanął cały świat.

Chicago

Obawiam się, że długo nie pociągnę. Wiem, że życie jest umową krótkoterminową, na której mój podpis coraz bardziej blaknie, a moje stopy nie są już tymi całusiowymi noworodkowymi kwiatuškami. Życie mówi do mnie różnymi językami. Wynajmuję czasem tłumaczy, tych symultanicznych i tych na papierze. Nadal nic nie rozumiem. Trwam w moim Bardo, myśląc, że to coś znaczy. Tak, znaczy, jeśli to ja nadam temu znaczenie. Nie wiem jednak, jak dorównać drzewom, które wciąż dają to, co pożyteczne. Inaczej sobie to zaplanowałam, nie chciałam tego snu, z którym się dziś obudziłam, nie chciałam słyszeć tej wiadomości, która do mnie dotarła, tego kurzu na książkach i sypiących się igieł pod choinką. Poprzez zwieszony w dół szare kosmyki włosów przebijają słabe

promienie popołudniowego słońca. Duże drewniane okno salonu wychodzące na West Fullerton Avenue w Chicago spoglądało jak oko sprawujące pieczę nad mieszkaniem i jego domownikami. Światło w tym pokoju mierzyło się co dzień ze starą, ciemną, drewnianą podłogą, która była świeżo cyklinowana i w swym nowo położonym lakierze bezlitośnie odbijała promienie, nie dopuszczając do siebie żadnych jasnych myśli. Moje wprawne szczupłe dłonie przeczesywały włosy szczotką, powoli zbliżając się do końca ważnego rytuału. Te konkretne włosy znaczyły coś więcej niż tylko fryzurę. Oznaczały kobiecość i dumę. Codzienny powolny rytuał ich czesania motywował mnie do życia poprzez pamięć o śmierci. W myślach w trakcie czesania pojawiały się bowiem włosy, które pierwsze płoną na stosie, włosy wycięte na peruki, włosy okrywające nagie pogwałcone ciało. Co dzień otwierająca się żywa rana, która prowadzi rękę, raz po raz rozczesując kolejne kosmyki ze spokojem i wytrwałością, której nie pamiętam, kiedy się nauczyłam. Kiedyś nie miałam nawet pojęcia, że w ogóle jestem wytrwała. Wiem tylko, że nawet kiedy mi coś nie wychodzi lub toczy się bardzo powoli, potrafię w tym wytrwać bardzo długo i chyba nawet nie sprawia mi to już wielkiej trudności. Czuję się wtedy, jakbym robiła na drutach, oczko po oczku. Czasem myślę sobie, że tworzę świat, powoli i nie bez problemów, ale taki, jakim chciałabym go widzieć. W prostolinijny sposób dzień w dzień starając się słuchać to szemrającej lodówki, to krzyczącej telewizji, to sąsiadki, to liści i psów za płotem. Taka zwykła uczciwość, która nie pozwala mi przestać. Nie mogę przestać dążyć do prawdy, nawet jeśli dla większości osób nie jest ona istotna. Prawda ma ogromną moc, bez niej, jak w mitologicznym eposie, wytoczy się na świat wielka ciemna chmura zła i pochłonie nas wszystkich. Ja nie chcę przyłożyć do tego ręki ani żadnej innej części mnie. Nie mogę więc okłamywać męża, systemu podatkowego czy koleżanki, nic z tych rzeczy nie wchodzi w grę. Najważniejsze jednak jest prawdziwe spojrzenie na siebie, najważniejsze i oczywiście najtrudniejsze. A prawda o mnie jest, no cóż, nijaka, bez charakteru, galaretowata jak meduza i w dodatku jak się źle dotknie, to parzy bez litości. Kto by chciał takiej prawdy o sobie. Jeśli jednak człowiek oszukuje siebie, to myślę, że dużo boleśniej jest mu umierać. Może więc tylko bronię się przed bólem. Myślę, że śmierć jest momentem, w którym bardzo mocno spotykamy się właśnie z prawdą i czasami może nas to na śmierć przerazić. W zawieszaniu głosu wywołanym przez uśmiech spotkały się fale spojrzeń. Wiatr powiał jak zwykle jednocześnie środkiem ulicy i w jej zakamarkach. Tuż za winklem przejechał autobus i dodał swoje trzy centy do całej sprawy podmuchu. Numer 74, kierunek Logan Square. Baletnica w mojej duszy schowała się za zastonką, leciutka jak pajęczyna w rogu ściany, udaje, że jej nie widać. Pergaminowa skóra uwidacznia kruchość istnienia i maskuje siłę woli. Nikt nie pomyśli o niej, że jest silna, nikt nie posądzi jej o hart ducha. Każdy widzi w niej liście na wietrze, parasolki dmuchawca i obłoki na letnim niebie. Jak to dobrze mieć taką siłę, której nikt nie widzi, tajną moc jak w komiksach Marvela. Niepostrzeżenie chować się za zastonką, przechadzać ulicami miasta, odpowiadać z uśmiechem „dzień dobry” na górskim szlaku. Nikt nie rozpoznaje, nikt o nic nie pyta, wszyscy jak zaczarowani widzą płynące obłoki. Chowam się przed światem i przed sobą. Nie wiem, gdzie jest miejsce, w którym przyjdzie

w końcu ta upragniona myśl, że już siebie odnalazłam. Wyobrażam sobie, że może to być skrzyżowanie ulic w moim betonowym mieście. Głośne, ruchliwe, brudne. Będę wtedy stać, czekając na zielone światło, kiedy mój wzrok się zatrzyma, zawiśnie i rozejrzy się dookoła w surrealistycznym zmrużeniu powiek. Tempo zwolni i zawstydzi mnie moim pośpiechem, po czym przestanę słyszeć dźwięki, zapadnie cisza jak w rezerwacie Umatilla w północno-wschodnim Oregonie. Wszystko będzie się dziać i gnać. I nic nie będzie już istotne, bo zobaczę siebie. A może zdarzy się to, kiedy będę już pomarszczona jak niebieska koszula po praniu na zbyt wysoką temperaturę, tu ponaciągana, tu skurczona i do tego wyblakła. Być może będę siedzieć wtedy na plaży, czytając kolejną książkę pod parasolem przeciwsłonecznym, z osłonką od wiatru oraz przewiewną chustą wokół ciała, w ciemnych okularach i na wygodnym leżaku. Będę wtedy patrzeć z dystansem na młodych ludzi, którzy biegną pływać lub przytulają się na ciepłym piasku i korzystają z chwili, nie zastanawiając się, kim są. Albo będzie to moment, kiedy podniosę przedramię, ocierając czoło, w drugiej ręce trzymając łopatę. Dobrze byłoby wykopać trochę szerzej, pomyślę, żeby korzenie mogły się swobodnie ułożyć. Posłucham bzzyczących owadów, uśmiechnę się do dzieci w piaskownicy, zaplanuję kilka kolejnych roślin i napiję się mrożonej herbaty. Tak, to na pewno będzie wtedy. Nie będę już miała wątpliwości, poskładam skorupki egzystencji i z ulgą usiądę, opierając się o drzewo wygięte na kształt kręgosłupa. Kiedy już to wszystko się wydarzy i w tym, i w tamtym, a zwłaszcza w tym jeszcze nieznanym scenariuszu, to obym nie spadła z konia, kiedy się moim cieniem sposzy. Chociaż wiem, że i wtedy zanurkę w głębinę mojej duszy i odszukam muliste dno, bo tam nie ma nic pięknego, i nie roztkliwię się, i nie wzruszę, tylko zanurzę ręce po łokcie w bagnistej mazi. Doszukam się kości moich ludzkich przaprzodków...

*

Kolejny dzień i z wnętrza żółć się wylewa, a może to słońce świeci, nie wiem. Taki stan, kiedy to ciało oniemiałe z wrażliwości i obecności świata. Samo istnienie dostarcza niezliczonych bodźców. Leżę nieruchomo tuż po przebudzeniu i czuję coś pod skórą lewej ręki, jakąś suchość w obojczyku, ciągnące w dół napięcie z przodu głowy, wyraźne pulsowanie w żyłach, głuchy dźwięk w uszach i sztywność na plecach. Tak jest z każdą minutą, w każdej chwili pojawia się coś innego. Istnienie niesie ze sobą natłok odczuwania. Psy szczełają na przejeżdżający samochód, reakcja za reakcją. Na co ja zareaguję? Moje ciało reaguje na wszystko, co do niego dociera, a ja przebieram, wybieram niezbyt często dobrze. W reakcji na świat teraz, w opóźnionej reakcji na świat, który już przeminął, lub w reakcji na świat, który obawiam się, że się stanie. Moje zazwyczaj impulsywne reakcje wnoszą jedynie więcej drżenia na falach wszechświata, przyczyniając się do chaosu. Roztrzęsiona bigotka-migotka. Bez przerwy i do rozpuku śmiać się będę z ciebie, z siebie i ze wszystkich. Nic nie chcę ci powiedzieć, na niczym mi nie zależy, kocham nie mieć nic wspólnego. Z oddali się przyglądam, ale bez ciekawości i dążenia, jak słup na polu wystawiony gapi się we wszystkich kierunkach z oczami dookoła głowy, czy raczej na cztery strony świata jak indyjski Brahma lub słowiański Światowid. Nie martwię się, nie cieszę, jestem,

choć nie ma mnie być może. Na pierwszym piętrze z okna salonu wydłuża się szyja w zbawieniu, oglądając inne niż moje życie. Zawsze, o każdej wysokości słońca i o każdym położeniu księżycy dzieje się wszystko. Przewijają się przede mną nieznanymi, o których wiem tyle, ile znaczą ich kroki, ich sposób poruszania się, ich spojrzenia, drżenie rąk czy ocieranie się uda o udo. Przewijają się też znajomi, o których wiem jeszcze mniej niż o tych poprzednich, bo z nimi już zamieniłam słowo, już określiłam mój stosunek, już nadałam nazwy i odczucia. Wszystko, co o nich wiem, zapada przed moimi oczami kurtyną przemyśleń, uprzedzeń i doznań. Jest to kolejny krwotok nieprzebranych myśli, którym płyną zwiędłe liście i toczą się kamienie. Powoli się snują z jednego pokoju do drugiego, zahaczając o kuchnię i spiżarnię, a zwłaszcza o półkę ze słodyczami. Myśli mnie nie karmią, ranią mą rzeczywistość upragnionego czucia i bycia w stanie czystego umysłu. Kieruje mną strach w większości przypadków, a kiedy nie strach, to ego, chociaż w pewnym sensie to to samo. Siedzę więc i myślę pogubiona w labiryncie czterech ścian. Napieram we wszystkich kierunkach, a ściany mojego umysłu ani drgną. To właśnie nazywa się ograniczenie umysłowe. Mój mózg jest skostniały i jak kościotrup chodzi tylko utartymi ścieżkami, a ścieżka strachu jest już tak bardzo wydeptana, że stała się nie tylko jakimś tam wąwozem, ale chyba to już Grand Canyon.

Warszawa

Raz na jakiś czas gotuję moją świętą zupę. Wybieram dwie nogi zwierzęcia, jakim jest kura, i przynoszę je do domu. Myję je, nacieram czosnkiem, przyprawami i modłę się w myślach, dziękując temu stworzeniu za poświęcenie swojego życia na moją zupę. Dlatego jest święta, bo jakieś stworzenie oddało za nią życie, nawet jeśli brzmi to infantylnie z jakiegoś punktu widzenia, to takie właśnie dla mnie jest. Nie mówię też nigdy nikomu o mojej modlitwie, zapewne pomyśleliby, że już całkiem zblizkowałam, jeszcze nad zupą się modlić. Zresztą jest to coś bardzo głębokiego we mnie, czego nigdy dotąd nie rozumiałam. Przypominam sobie, kiedy byłam dzieckiem, mówiono mi z wyrzutem „modlisz się nad tym jedzeniem czy jesz?”. A ja zawsze jadłam powoli. Teraz rozumiem też, że ja rzeczywiście się modliłam, że gdzieś podświadomie czułam głęboki szacunek do pożywienia, mięsnego czy nie. Porusza mnie widok łanów zboża na polu, zachwyca mnie przydomowymi warzywniakami i balkonowymi pomidorkami. Infantylnie, wiem.

Chicago

Wychodzę, biegnę do pracy po raz kolejny, niezliczony już. Niedawno skończyłam x lat, nie powiem, a kierowca autobusu linii 74, patrzy na mnie co rano z uśmiechem i błyskiem w oku. Chyba nie wyglądam jeszcze na całkiem pomiętą koszulę, a hemoroidów na szczęście nie widać. Mijają mnie szarobure budynki, przelatują im przed facytą dokładnie tak samo jak one mnie. Dzieli nas autobusowa szyba, a łączący przywiązanie do ziemi. Tylko że ja od lat czuję się jak stary dom przeniesiony na nowe miejsce.

Na moim starym miejscu postawiono w międy czasie osiedle mieszkaniowe lub zarosły je chwasty i krzaki albo zrobiono tam wysypisko śmieci, w zasadzie to nie wiem, bo boję się dowiedzieć. Tęsknota jest takim trudnym doznaniem. Można tęsknić za osobą, miejscem, smakiem, zapachem, dotykiem, niemal za wszystkim. Ja tęsknię za sobą. Bardzo dawno mnie już nie ma i nie mam ze sobą zbyt wiele do czynienia. Część mnie pogrzebano wiele pokoleń wstecz, kiedy kazano mi, jako mojej prapraprababci, się podporządkować, część mnie zabiła niespełniona miłość, kolejną część uwewnętrzzone poczucie, że muszę być twarda i silna w męskim rozumieniu, resztę zrobiło obserwowanie ludzkiego cierpienia, które rani do żywego, a więc tego żywego należy się, logicznie rzecz biorąc, pozbyć. Tak stałam się martwa.

Otwock

Pomiędzy chmurami płynie niebo niebieskie jak niezapominajki. Co będzie później, to zobaczymy, teraz nie jestem tu sama. Jestem tu z poczuciem winy. Trudno mi się przez nie przebić: że normy społeczne, że kobieta, że matka. Żeby się od tego oderwać, zadaję sobie pytanie, co by było, gdyby nie było żadnych norm, kim bym wtedy była i co robiłabym teraz, w tej sytuacji. Odpowiedź zawsze przybliży mnie do wolności, zwłaszcza jeśli choć trochę ją zrealizuję.

Przewracam oczami na beżową bawełnianą zasłonkę, która przypomina len. Powiewa na prawą stronę, odsłaniając odbicie w szybie, dzięki któremu widać zarośniętą niezagospodarowaną działkę. Rosną na niej brzozy, różnorodne trawy, pokrzywy, fioletowe kwiatki, których nazwy nie znam, podskakują tam małe żabki, petzają tłuste ślimaki i roi się od owadów. Kojący widok nieposkromionej natury. Nagle drzwi balkonu podążyły za podmuchem i zamknęły się z niewielkim trzaskiem. Przystałam słyszeć szelest liści, a zaczęłam zdawać sobie sprawę ze zgrzytania moich zębów. Jak szybko to się dzieje, w ułamku sekundy, kiedy przeskakuję uwagę z wnętrza na zewnątrz i odwrotnie. Nawet nie zauważam, jak odwracam się od samej siebie i świat mnie pochłania swym bogactwem, i kusi różnorodnością. Zapominam wtedy o sobie i szybko się w tym świecie gubię, równie szybko jak trzaśnięcie drzwiami.

Mam mały zapas ryżu, kaszy i makaronu, mąkę i bieżącą wodę, jajka już chyba się skończyły. Na koncie 23,50 i w portfelu 4,20. Za gotówkę kupię chleb, a całe 23,50 starczy na bukiet kwiatów. Piękno ważniejsze jest w końcu od przetrwania.

Chicago

Przez szpary między deskami przeciska się zakurzony, stary, śmierdzący stęchlizną ból wspomnień. Oczarowana lekkością przemijania nie zwracam uwagi na teraźniejszość. Dziwi mnie tylko, że przeszłość ma dla mnie takie znaczenie, skoro bardziej lub mniej dawno już nie istnieje. Dlaczego tak się wciska? Świdruje, zmiękcza kości, jakby historia i osteoporoza to było jedno i to samo. Kości moje, kości babci, kości dziadka,

kości zwierząt, które zjadłam, kości rzucone w przepowiedni. Przyciskam palcami wskazującymi płatki moich uszu. Nie chcę z tobą rozmawiać, powtarzam sobie w myślach. Dziwnie się z tym czuję, jak można nie chcieć słuchać swojej własnej matki, babci itd., ale czuję, że choć na chwilę chciałabym przestać słyszeć, co macie do powiedzenia. Chciałabym oderwać się od bagażu kobiecości, od którego puchnie mi macica i nabrzmiewają co miesiąc piersi.

Otwock

Zieleń jest zawsze ruchoma, oddycha razem z płytami tektonicznymi i świszcze w wyrwach między kamieniami. Jej odcienie przelewają się przez palce, jak życie małych istnień, bakterii, grzybów, koralowców. Niechciany ucisk w zatokach zamyka moje oczy na świat zewnętrzny. Nie wolno mi teraz patrzeć na zieleń. Powieki uchylają się wbrew rozsądkowi, wbrew uciskowi na środku czoła, którego następstwem jest nieznośny już ból. Pochylam się do przodu jak skazany przed ścięciem głowy, w pokorze przed losem. Kropelkami spływa na mnie szacunek do zielonego życia.

W turkusowej wodzie błyszczy moje oko, ale tylko lewe. Prawe odbija się w błękitcie strumienia, mrużąc powieki od naporu nurtu, i moje uczucia przepadają w otchłani zaciemionego lasu po tej stronie góry, po której zdecydowanie nie świeci słońce, tylko mech i grzybnia po cichutku wzrastają, w niesekrecie. Kłębi się we mnie, drży, spokojnie, różowi, zieleni, szarzej. Liście szumią w uszach, wiatr się śmieje. Ja trochę żyję i nie żyję, szybko się starzeję.

Chicago

Zaginiony akt kobiecy nr 4 Katarzyny Kobro po cichutku stanął między bibelotami starszej pani, którą mimowolnie się stałam. Umieściłam go nie na widoku, by niezbyt zuchwale przypominać o przemijającej seksualności. Postać w lekkim pochyleniu, delikatna i z wielkimi stopami, wygląda tak, jakby mimo dobrego kontaktu z ziemią, miała runąć lub co najmniej przykłęknąć, złożwszy ramiona między kolanami, wyginając wiotkie plecy falujące niczym jedwab w pustynnym powiewie. Tliło się obok światło świeczki, przy której często się zastanawiałam, dlaczego świeczki wkładają do szklanek, a przynajmniej do szklanych przedmiotów, które przypominają szklanki. Wystarczy okleić kolorowym obrazkiem, zawiązać kokardkę itp., a szklanka przechodzi transformację i udanie pretenduje do rangi świecznika. Tymczasem akt kobiecy nr 4 ani drgnie, w przeciwieństwie do płomienia. Gliniana seksualność w perłowobiałej odstonie twardo trzyma się swej postaci i udaje, że nie kruszeje. Tu można podczyścić, tu można coś dokleić, tu troszkę naciągniemy, a tam odetniemy, tu trochę barwnika, tu trochę niteczki, tu wyszczuplimy, tam zaokrąglimy. Na deser podda się akt kobiecy antygravitacji i podróży w czasie, a przy kolacji nikt go już nie rozpozna oprócz głośno przemawiającego męskiego głosu, któremu wszystko jedno. Brzmi on mniej więcej tak: hmmm, oh tak, zryp, zryp rozpinanie

rozporka, chodź tutaj, maleńka. Akt kobiecy numer 4 zastygł w przestrzeni bez ognia głupotą wypełniony z domieszką testosteronu. Polegać można już tylko na stopach. Paluchy, piętuchy, stępulce, zmiążdżaczce, czujuchy, zmarzluchy. Na śniegu ślizgacze, po łące biegacze, w piasku kopacze i w liściach chowacze. W pełnym blasku wątpliwej lampy pod akupresurą pokazują prawdę. To w jelicie cienkim coś zalega, w jelicie grubym coś uwiera, to przysadka mózgowa pobolewa, to górna część kręgosłupa się przygięta. Nie mówiąc już o macicy, dwunastnicy i oczywiście oskrzelach. Cóż muszą przejść te stopy, by się prawdziwie ukłonić. Nie w akcie prawnym, nie w akcie rozpaczy, ani w akcie pokory fałszywością podszytej. Ukłonić się w kobiecym akcie nr 4.

Pieniny

Pamiętam taką przesiekę między skałami, wydawało się, że można tamtędy szybciej dojść do wioski w dolinie. Miałam tylko wątpliwości co do roślin. Nie wiedziałam, czy nie będą jednymi z tych, które stawiają opór przy każdym kroku. Gęste, wysokie do pół łydki, a nawet do kolan w niektórych zakamarkach, jedno czepliwe chwytające buty i spodnie, drugie miękkie i zapadające się głębiej, niżby się człowiek spodziewał, sprawiające wrażenie, jakby się szło po śniegu w środku lata. Nie to, żeby to było niemożliwe w północnej hemisferze, i to jeszcze w górach, jednak nie tutaj i nie na tej wysokości zaledwie 982 m n.p.m. I pozostawały jeszcze te rośliny, których nie rozpoznawałam jako pospolite. Bałam się, że podepczę jakiś gatunek na wymarcium. Prowadząc ten wewnętrzny dialog, ukorzyłam się przed możliwym poczuciem winy wynikającym z podjęcia decyzji o niechlubnym zadeptaniu paru kwiatków. Wróciłam na szlak.

Chicago

Kolejny list do Polski:

Trafiłam na odwyk. A odwykam od tego, co daje mi poczucie ciągłości zdarzeń i przynależności do moich przodków. Zanim tu trafiłam, było całkiem niezłe. Jednak na tyle powierzchownie, że moje ciało domagało się jakiegoś zainteresowania. Poprzez pojawianie się kolejnych pieprzyków na moim ciele, bóle brzucha, głowy oraz nowotwór w macicy, nie wspominając o skrzywieniu kręgosłupa i słabych zębach. Zmuszona, pociągnięta do ostateczności, chwytam się kawałka i tak już mocno nadwyrężonego, wisielczego sznurka, który w każdym splocie przypomina uciekające dni mojego marnego życia. Postanowiłam więc odwyknąć i przemóc się, i zostać odmieńcem, któremu się powiodło. Zapytasz mnie pewnie, co to znaczy, że mi się powiodło. Otóż pierwszą częścią odpowiedzi jest odkrycie tego, czego pragnę najbardziej na świecie, odkrycie tego najgłębszego pragnienia, bez spełnienia którego straszliwie ciężko byłoby umierać, tak ciężko, że mój konający krzyk byłoby słycać jeszcze na siedem pokoleń do przodu. A ten krzyk przejawiałby się u kolejnych pokoleń w bólach brzucha, głowy, odstających pieprzykach i nowotworach, skrzywieniu kręgosłupa i bólu zębów. Drugą częścią

odpowiedzi jest – jak się zapewne domyślasz – realizacja tego marzenia. Tak, wiem, odpowiadam ci ogólnie, nie mówiąc, co to właściwie jest za marzenie, ale wiem doskonale, że ty wiesz. Nawet jeśli nie wiesz, jakie ono jest dla mnie, to wiesz lub szukasz tego, czym ono jest dla ciebie, a to dużo bardziej istotne niż powiedzenie ci, jakie jest moje. Niemniej chodzi mi o to, że niespełnione marzenia są dziedziczne. Nie wiem, o czym marzyła na przykład moja prababcia. Mogę się domyślać, że o bezpieczeństwie, zdrowiu, posłusznych dzieciach itp., ale co było tym jednym jedynym marzeniem kotłowanym gdzieś pod sercem, tego nie wiem, więc nie wiem też, czy się spełniło. Nie wiem, ile pokoleń niespełnionych marzeń odziedzyczyłam, wiem tylko, że strasznie ktoś krzyczy w mojej głowie i że boli i tu, i ówdzie. Tak więc poszłam na ten odwyk. Możesz sobie więc wyobrazić, jak się czuję. Chodzę po ścianach, wymiotuję, obgryzam paznokcie i wściekam się, i pluję na wszystkich jadłem. Oczywiście w jednej chwili myślę sobie, że zrobiłabym wszystko za spełnienie mojego marzenia, a w następnej biorę się za odkurzanie, zmywanie, jedzenie, patrzenie przez okno, prasowanie, opiekowanie się dziećmi, rozmowę z koleżanką, segregację dokumentów, wycieranie kurzu i z psem trzeba wyjść, i pouczyć się do egzaminu, i pójść na demonstrację... Tak długo mogłabym wymieniać wszystkie czynności, wszystkie dni i godziny, które spędziłam na tym, żeby tylko nie spełnić swojego marzenia. Tłumaczę sobie, że to też są ważne sprawy i wcale nie zmarnowałam na nie życia. Wiem, że mam rację, ale też wiem, że te wszystkie sprawy to szatan wcielony, który odciąga mnie od mojego jedynego prawdziwego obowiązku, od spełnienia. Diabelski czerwony tęcz az kipi z chęci włożenia mnie w powszedniość, a rogi lśnią z przebiegłej radości, kiedy tylko pomyślę, że przecież nie mogę być taka egoistyczna, żeby skupiać się na moim marzeniu. Tak, nie przejęczyłam się, największym szatańskim spiskiem jest wzmówienie nam, że nie powinniśmy się zajmować sobą, bo to złe i egoistyczne, więc powiedz mi, proszę, po co żyjesz, jeśli nie po to, by się tym życiem zająć. Czy to nie życie jest największą wartością? Wszystko, co robisz, robisz dla siebie, zwłaszcza kiedy pomagasz innym. Kiedy zdasz sobie z tego sprawę, zajmiesz się swoim życiem. Im dalej się od tego odsuwamy, tym bardziej zbliżamy się do zła i ciemności. Jak widzisz, muszę tu być, na tym odwyku, inaczej ciemność mnie przeniknie pod pozorem niezwykle ważnej codzienności.

Daj mi znać, co u ciebie. Byłoby mi różnie w tym schematycznym więzieniu, wiedząc, że nie tylko ja zdecydowałam się na odwyk.